



SIOSTRA KSIĘŻYCA

— SIEDEM SIÓSTR —



LUCINDA RILEY

ALBATROS

1

– Pamiętam dokładnie, gdzie byłam i co robiłam, kiedy dowiedziałam się, że mój ojciec nie żyje.

– Ja też dobrze pamiętam moment, gdy dostałam wiadomość o śmierci mojego. – Charlie Kinnaird popatrzył na mnie uważnie błękitnymi oczami. – A gdzie wtedy byłaś?

– W azylu dzikiej przyrody u Margaret. Zbierałam łopatą jełenie odchody. Naprawdę wołałabym jakieś mniej prozaiczne okoliczności, ale jest, jak jest. Zresztą w porządku. Chociaż...

Ścisnęło mnie w gardle. Zastanawiałam się, jakim cudem ta konwersacja, a właściwie rozmowa kwalifikacyjna, zeszła na temat śmierci Pa Salta. Siedziałam w pełnej ludzi kantynie szpitala naprzeciwko doktora Charliego Kinnairda. Kiedy tylko wszedł, zorientowałam się, jak bardzo przyciąga uwagę. Nie tylko był uderzająco przystojny – szczupły, elegancki, z tymi swoimi wijącymi się lekko ciemnokasztanowymi włosami – ale również roztaczał wokół siebie szczególną aurę. W sposób naturalny budził respekt. Wielu pracowników szpitala siedzących w pobliżu przerwało picie kawy, by popatrzeć na niego i skinąć mu z uszanowaniem głową. Gdy zbliżył się i wyciągnął dłoń na powitanie, przebiegł mnie dreszcz. Teraz siedział po drugiej stronie stolika, a ja obserwowałam, jak jego szczupłe palce nerwowo bawią się pagerem.

– Chociaż co, panno D'Aplièse? – zapytał z lekkim szkockim akcentem.

Zdałam sobie sprawę, że nie zamierza mi odpuścić i będzie chciał, żebym skończyła to, co zaczęłam.

– Mmm... Po prostu nie dociera do mnie, że on nie żyje. To znaczy rozumiem, że to prawda, bo przecież nie sfingowałby swojej

śmierci. Wiedział, jak bardzo zaboli nas jego odejście. Mam jednak stale wrażenie, że on jest gdzieś obok mnie.

– Nie wiem, czy to jakaś pociecha, ale myślę, że to normalne – powiedział. – Wiele osób, z którymi rozmawiam, a które straciły kogoś z rodziny, twierdzi, że czuje przy sobie obecność swoich ukończonych zmarłych.

– Oczywiście – rzuciłam szybko, bo jego słowa zabrzmiały trochę protekcyjnie.

Ale w końcu rozmawiałam z lekarzem, z kimś, kto na co dzień styka się ze śmiercią i ludźmi osieroconymi przez najbliższych.

– To zabawne. – Westchnął, uniósł z melaminowego blatu stolika pager i zaczął obracać nim w dłoniach. – Jak wspomniałem, niedawno zmarł i mój ojciec. A ja nie potrafię uporać się z czymś, co mógłbym nazwać jedynie prześladowającym mnie koszmarem, wizją, że on wstaje z grobu! Dosłownie.

– Nie mieliście dobrych relacji?

– Nie. Może i był moim biologicznym rodzicem, ale poza tym nic nas nie łączyło. Najwyraźniej u ciebie było inaczej.

– Tak, mimo że moje siostry i ja byłyśmy adoptowane. Jako bardzo małe dzieci. Nie ma tu więc mowy o związkach genetycznych. Ale nie wiem, czy biologicznego ojca można kochać bardziej, niż ja kochałam swojego. Naprawdę był fantastyczny.

Charlie się uśmiechnął.

– No widzisz, najlepszy dowód, że to nie biologia przesądza o tym, czy dogadujemy się z rodzicami. To wszystko czysta loteria, prawda?

– W gruncie rzeczy widzę to trochę inaczej. – Uznałam, że nie powinnam sprzeniewierzać się swoim przekonaniom, nawet podczas rozmowy kwalifikacyjnej. – Myślę, że trafiamy na siebie z jakiś powód, niezależnie od tego, czy łączą nas więzy krwi, czy nie.

– Chcesz powiedzieć, że wszystko jest nam pisane? – Popatrzył na mnie trochę rozbawiony.

– Tak, ale wiem, że większość ludzi nie zgodziłaby się z tym.

– Obawiam się, że ja też. Jako kardiochirurg codziennie zajmuję się sercem, z którym powszechnie wiąże się uczucia i duszę. Niestety, ja muszę na nie patrzeć jak na kawał mięśnia, w dodatku często szwankujący. Wykształcono we mnie naukowe podejście do świata.

– Myślę, że i w nauce jest miejsce na to, co duchowe – zaoponowałam. – Też mam za sobą studia na dość ścisłym kierunku, jest

jednak tyle rzeczy, których nauka nie potrafi wyjaśnić.

– Masz rację, ale... – Charlie spojrzał na zegarek. – Zdaje się, że kompletnie zboczyliśmy z tematu, a ja za piętnaście minut muszę być na oddziale. Wybacz więc, że wrócę do sprawy. Czy Margaret opowiedziała ci coś więcej o posiadłości Kinnaird?

– Wiem, że to ponad szesnaście tysięcy hektarów dzikich terenów i że szukacie kogoś, kto zna się na ginących gatunkach, które można byłoby tam zasiedlić, szczególnie z rodziny kotowatych.

– Tak. W związku ze śmiercią ojca prowadzenie posiadłości przechodzi na mnie. Tata przez lata wykorzystywał ją jako swego rodzaju plac zabaw. Polował, strzelał, łowił ryby i wypijał do dna zapasy z tamtejszych destylarni, nie myśląc o ekologii. Trzeba jednak przyznać, że to nie całkiem jego wina. Jego ojciec i wielu mężczyzn z rodu w zeszłym stuleciu chętnie inkasowało pieniądze za drewno dostarczane stocznii. Spokojnie patrzyli, jak pod wyrębem znikają ogromne połacie kaledońskich lasów sosnowych. W tamtych czasach nikt nie widział w tym nic złego, ale teraz można wymagać od nas czegoś więcej. Zdaję sobie sprawę, że nie da się odwrócić tego, co się stało, a już za mojego życia na pewno, ale bardzo chciałbym zrobić dobry początek. Zatrudniłem najlepszego specjalistę w Szkocji, żeby zaplanował odnowę lasów. Wyremontowaliśmy też pałacyk myśliwski, w którym mieszkał tata, żeby wynajmować pokoje gościom gotowym dużo płacić za świeże górskie powietrze i organizowane polowania.

Aż się wzdrygnęłam, lecz próbowałam tego po sobie nie pokazać.

– No tak – powiedziałam.
– Najwyraźniej nie pochwalasz polowań.
– Nie potrafię zaakceptować zabijania niewinnych zwierząt, owszem – odparłam. – Ale rozumiem, dlaczego jest to konieczne – dodałam szybko.

W końcu starałam się o pracę w szkockich górach, gdzie polowania na jelenie były nie tylko popularne, ale też uświęcone przez prawo.

– Ze swoim wykształceniem na pewno wiesz, że człowiek zburzył równowagę w przyrodzie Szkocji. Nie ma naturalnych drapieżników, jak wilki czy niedźwiedzie, które ograniczałyby nadmierny wzrost populacji jeleni. Teraz musimy kontrolować ją sami, lecz przynajmniej możemy się starać, by przebiegało to w sposób jak najbardziej humanitarny.

– Wiem, choć muszę szczerze przyznać, że nigdy nie byłabym w stanie pomagać w odstrzałach. Przywykłam ratować zwierzęta, nie mordować.

– Rozumiem te odczucia. Widziałem twoje CV i jest ono naprawdę imponujące. Poza dyplomem z zoologii robiłaś specjalizację z ochrony przyrody?

– Tak. Techniczna część moich studiów, czyli anatomia, biologia, genetyka, zwyczajnie ginących gatunków i tak dalej, okazała się niezmiernie przydatna. Pracowałam przez jakiś czas w dziale badań w zoo w Servion, ale szybko doszłam do wniosku, że bardziej interesuje mnie praktyczna pomoc zwierzętom niż studiowanie ich na odległość i analizy DNA w laboratorium. Mam dla nich... jakąś naturalną empatię. I choć nie przeszedłam kursów z weterynarii, potrafię wyczuć, jak je leczyć, kiedy są chore.

Niezręcznie wzruszyłam ramionami, zażenowana, że tak się przechwalam.

– Margaret naprawdę bardzo dobrze wypowiadała się o twoich umiejętnościach. Mówiła mi, że opiekowałaś się dzikimi kotami w jej azylu.

– Zajmowałam się nimi na co dzień, tak, ale to Margaret jest prawdziwym ekspertem. Miałśmy nadzieję, że w tym roku, w ramach programu przywracania ich naturalnemu środowisku, uda się nam doczekać młodych, ale skoro azyl zostaje zamknięty i zwierzęta muszą być przeniesione w inne miejsce, to pewnie tak się nie stanie. Dzikie koty są niesamowicie wrażliwe.

– To samo mówi mi Cal MacKenzie, zatrudniony przeze mnie specjalista, który dogląda posiadłości. Nie jest zachwycony, że ma przyjąć koty, ale ten gatunek należy do Szkocji i jest tak rzadki, że musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by go uratować. A Margaret sądzi, że jeśli ktokolwiek może pomóc tym zwierzętom przystosować się do zmiany miejsca zamieszkania, to ty. Jesteś więc zainteresowana, by przyjechać z nimi na kilka tygodni i pomóc im się zadomowić?

– Oczywiście, chociaż przy dzikich kotach nie będzie zbyt wiele roboty, kiedy już się je przewiezie. W czym jeszcze mogłabym pomóc?

– Szczerze mówiąc, Tiggy, nie miałem dotąd możliwości szczegółowo przemyśleć dalszych planów. Przez pracę tutaj i porządkowanie spraw po ojcu miałem zająć po uszy. Ale byłbym zachwycony, gdybyś podczas pobytu u nas rozejrzała się po terenie i zorientowa-

ła się, jakie inne lokalne gatunki mogłyby wrócić w te strony. Myślałem o rudych wiewiórkach i górskich zającach. Robię rozeznanie co do łośi i dzików. Myślałem też o przywróceniu populacji dzikich łososi w strumieniach i jeziorach, wybudowaniu tam progów i tym podobnych, by ryby przyływały na tarło. Potencjał jest spory, trzeba tylko podejść do tego właściwie i zainwestować.

– Dobrze, to brzmi interesująco – zgodziłam się. – Choć z góry uprzedzam: ryby to nie moja specjalność.

– Wiem. Ja z kolei powinienem uprzedzić o realiach finansowych. Mogę zaproponować ci jedynie podstawową płacę i mieszkanie, ale będę ogromnie wdzięczny za wszelką pomoc. Bardzo kocham to miejsce, jednak Kinnaird okazuje się przedsięwzięciem czasochłonnym i trudnym.

– Musiałeś zdawać sobie sprawę, że pewnego dnia będzie należeć do ciebie? – zaryzykowałam.

– Tak, ale myślałem też, że tata jest jednym z tych, których śmierć nie pokona. Zresztą on sam musiał żyć w tym przekonaniu, bo nie zwracał sobie głowy spisaniem testamentu. Umarł, nie pozostawiając ostatniej woli. Choć jestem jego jedynym spadkobiercą i to tylko formalność, spadła na mnie niepotrzebnie dodatkowa porcja papierkowej roboty. W każdym razie według mojego prawnika do stycznia wszystko zostanie załatwione.

– Jak umarł? – spytałam.

– Dostał zawału i przetransportowano go helikopterem tu do mnie. – Charlie westchnął. – Kiedy tu dotarł, już nie żył, odpłynął na chmurze oparów whisky, jak wykazała późniejsza sekcja zwłok.

– Musiało być ci ciężko – powiedziałam, krzywiąc się na samą myśl o tej procedurze.

– Tak, to był szok.

Patrzyłam, jak chwytając za pager, drżenie palców zdradzało jego wewnętrzny niepokój.

– Czemu nie sprzedasz posiadłości, skoro jej nie chcesz?

– Od trzystu lat należy do rodziny i miałbym ją sprzedać? – Przewrócił oczami i zaśmiał się cicho. – Ściągnąłbym sobie na głowę potępienie wszystkich duchów przodków. Nie darowaliby mi tego! Zresztą jeśli już nie z innych powodów, to muszę przynajmniej spróbować uratować Kinnaird dla Zary, mojej córki. Przepada za tym miejscem. Ma szesnaście lat i gdyby tylko mogła, rzuciłaby szkołę i przyjechała pracować w posiadłości na stałe. Powiedziałem jej, że najpierw musi skończyć studia.

– Słusznie.

Popatrzyłam zaskoczona na Charliego. Wyglądał zdecydowanie zbyt młodo jak na ojca. A już naprawdę trudno było uwierzyć, że może mieć szesnastoletnie dziecko.

– Będzie wspaniałą dziedziczką, kiedy dorośnie – dodał. – Ale chciałbym, żeby najpierw poznała lepiej życie. Poszła na uniwersytet, podróżowała po świecie i upewniła się, że rzeczywiście chce poświęcić się zarządzaniu rodzinną posiadłością.

– Ja już w wieku czterech lat wiedziałam, co chcę robić. Zobaczyłam wtedy film dokumentalny o zabijaniu słoni dla kości słoniowej. Po maturze nie zrobiłam sobie roku przerwy, tylko od razu zaczęłam studia. Właściwie wcale nie podróżowałam. – Wzruszyłam ramionami. – Myślę, że nie ma to jak praktyczne uczenie się zawodu.

– To właśnie powtarza mi Zara. – Charlie uśmiechnął się do mnie blade. – Mam wrażenie, że się dogadacie. Oczywiście powinienem rzucić to wszystko – zatoczył ręką łuk – i z pełnym oddaniem zająć się posiadłością, póki nie przejmie jej Zara. Problem w tym, że gospodarstwo jest niedochodowe i na razie, z finansowego punktu widzenia, rezygnowanie z etatu byłoby nierozsądne. Zresztą, między nami mówiąc, nie mam pewności, czy nadaję się na ziemianina.

Znów spojrział na zegarek.

– No dobrze, muszę iść, a ty, jeśli jesteś zainteresowana, najlepiej pojedź do Kinnaired i sama się rozejrzyj. Śnieg jeszcze tam nie spadł, ale niedługo można się go spodziewać. Powinnaś mieć świadomość, że to dzikie tereny, dalekie od cywilizacji.

– Mieszkam z Margaret w jej domku na kompletnym odludziu – przypomniałam mu.

– W porównaniu z Kinnaired to jak Times Square – zaznaczył Charlie. – Wyślę ci esemesem numer komórkowy Cala MacKenziego, mojego zarządcy, i telefonu stacjonarnego. Jeśli nagrasz się i tu, i tam, w końcu odbierze wiadomość i do ciebie oddzwoni.

– Dobrze. Ja... – Przerwał mi brzęczyk pagersa.

– No tak. Naprawdę muszę już iść. – Charlie wstał. – Kontaktuj się ze mną mailowo, gdybyś miała jeszcze jakieś pytania. A jeśli dasz mi znać, kiedy byś się wybierała do Kinnaired, postaram się tam do ciebie dołączyć. I proszę, zastanów się nad tym poważnie. Jesteś tam bardzo potrzebna. Dziękuję za spotkanie, Tiggy. Na razie, do zobaczenia.

– Cześć – odparłam.

Patrzyłam, jak obraca się i rusza pomiędzy stolikami w kierunku wyjścia.

Czułam dziwną euforię. Miałam wrażenie, że złapałismy wyjątkowo dobry kontakt. Charlie wydał mi się bliski, jakbym go znała od zawsze. A ponieważ wierzyłam w reinkarnację, to może naprawdę się znaliśmy? Zamknęłam na moment oczy i oczyściłam umysł, by skupić się na tym, jakie emocje budzi we mnie myśl o nim. Wynik mnie zaszokował. To nie była ciepła fala serdeczności wobec ojcowskiej opiekuńczej postaci pracodawcy, ale coś zupełnie innego.

Nie! Otworzyłam oczy i wstałam, by wyjść. On ma kilkunastoletnią córkę, co oznacza, że jest o wiele starszy, niż mi się zdawało, i zapewne żonaty, upominałam siebie, idąc jasno oświetlonymi korytarzami szpitala.

Na zewnątrz otoczyła mnie listopadowa mgła. Nad Inverness zapadał zmierzch, choć dopiero minęła trzecia.

Stojąc w kolejce do autobusu, którym miałam dojechać na dworzec, dostałam dreszczy – z zimna, a może podekscytowania, nie wiem. Wiedziałam jedno, że instynktownie chciałam przyjąć tę pracę, choć była tylko tymczasowa. Sprawdziłam więc numer do Cala MacKenziego, który podał mi Charlie, i wybrałam go na komórce.

*

– No i – zagadnęła mnie Margaret, kiedy zgodnie z naszym zwyczajem siedziałyśmy wieczorem przed kominkiem, popijając kakao – jak poszło?

– W czwartekjadę zobaczyć posiadłość Kinnaird.

– Świetnie. – Jasnoniebieskie oczy zdawały się świecić laserowym blaskiem w jej poorly zmarszczkami twarzy. – Co sądzisz o dziedzicu lub lordzie, jak by się go nazywało w Anglii?

– Okazał się bardzo... sympatyczny. Naprawdę – wydukałam. – Jest zupełnie inny, niż sobie wyobrażałam – dorzuciłam z nadzieją, że się nie czerwienię. – Sądziłam, że będzie dużo starszy. Może nawet łysy, z wielkim brzuchem od picia whisky.

– Ajajaj. – Mary zachichotała, czytając w moich myślach. – Wygląda przyjemnie, niewątpliwie. Znam go od dziecka. Mój ojciec pracował dla jego dziadka w Kinnaird. Charlie był uroczy. Wszyscy wiedzieliśmy, że popełnia wielki błąd, kiedy żenił się z tą swoją damą. Był jeszcze taki młody. – Przewróciła oczami. – Wiesz, ta ich córka, Zara, to naprawdę słodka dziewczyna, nawet jeśli dość szalona, ale nie miała łatwego dzieciństwa. Opowiedz mi więcej o tym,

co ci mówił.

– Chciałby, żebym poza opiekowaniem się kotami zorientowała się, jakie miejscowe gatunki można tam przywrócić. Szczerze mówiąc, nie robi wrażenia... człowieka zbyt zorganizowanego. Jest trochę rozkojarzony. Sądzę, że to będzie tymczasowe zajęcie, póki koty się tam nie zdomowią.

– Nawet jeśli to potrwa krótko, mieszkanie i praca na takiej posiadłości jak Kinnaird mogą być ważną lekcją. Może tam uświadomisz sobie, że nie da się uratować każdego stworzenia, które znajdzie się pod twoją opieką. I to stosuje się również do kulawych kaczek rodzaju ludzkiego – dodała, uśmiechając się cierpko. – Musisz nauczyć się akceptować, że zarówno zwierzęta, jak i ludzie mają zapisany los. Możesz tylko starać się robić to, co w twojej mocy, nic więcej.

– Kiedy czuję, że zwierzę cierpi, nie potrafię przejść obok tego obojętnie. I to się nigdy nie zmienia, Margaret. Wiesz o tym.

– Wiem, kochanie, i dlatego jesteś wyjątkowa. Taka drobniotka, a o tak wielkim sercu. Uważaj, żeby nie zniszczyły go zbyt silne emocje.

– A jaki jest ten Cal MacKenzie?

– Och, wydaje się trochę gburowaty, ale w gruncie rzeczy to złoty chłopak. Zna to miejsce jak nikt, wiele się od niego nauczysz. Poza tym, jeśli nie przyjmiesz tej pracy, to gdzie się podziejesz? Wiesz, że ja i zwierzęta musimy się stąd wynieść do Bożego Narodzenia.

Artretyzm dokuczał Margaret coraz bardziej i przenosiła się wreszcie do miasta, do Tain, czterdzieści pięć minut jazdy od wilgotnego, rozpadającego się domku, w którym siedziałyśmy teraz. Do tej pory, przez ostatnie czterdzieści lat, osiem hektarów górzystego wybrzeża zatoki Dornoch udzielało gościny Margaret i jej pstrokatej gromadzie różnorodnych zwierząt.

– Nie żał ci stąd wyjeżdżać? – spytałam ją po raz nie wiem już który. – Na twoim miejscu wypłakiwałamby oczy dzień i noc.

– Pewnie, że mi szkoda, Tiggy, ale jak próbowałam ci to tłumaczyć, wszystko, co dobre, kiedyś się kończy. A z pomocą boską pojawia się coś nowego, może lepszego. Nie ma sensu żałować tego, co było, trzeba otworzyć się na to, co nadchodzi. Od dawna wiedziałam już, że to się stanie, a dzięki twojej pomocy udało mi się spędzić tu jeden rok dłużej. A poza tym mój nowy dom ma grzejniki, które można włączyć, kiedy się zechce, i zawsze łapie się tam sygnał tele-

wizyjny!

Zaśmiała się i uśmiechnęła szeroko, choć ja – szczącą się intuicją – nie byłam pewna, czy naprawdę się cieszy, czy tylko stara się być dzielna. Jakkolwiek było, wstałam i podeszłam, by ją uściskać.

– Jesteś niesamowita, Margaret. Ty i zwierzęta tak wiele mnie nauczyliście. Będzie mi was tak strasznie brak.

– Oj, przecież możemy się widywać, jeśli weźmiesz tę pracę w Kinnaird. Będę o podmuch wiatru stamtąd, w dolinie, i w razie potrzeby zawsze chętnie ci coś doradzę. Musisz też odwiedzać Dennisa, Guinnessa i Buttona, bo inaczej będą za tobą tęsknić.

Popatrzyłam na trzy mizerne stworzenia leżące przed kominem – wiekowego rudego kota o trzech nogach i dwa stare psy – wszystkie uratowane przez Margaret, kiedy były małe.

– Pojadę zobaczyć Kinnaird i wtedy podejmę decyzję – powiedziałam. – Jeśli nic z tego nie wyjdzie, spędzę święta w Atlantis i zastanowię się, co dalej. A teraz może pomogę ci się położyć, zanim pójde na górę?

To pytanie zadawałam Margaret co wieczór, a ona niezmiennie z godnością odmawiała.

– Nie, Tiggy. Posiedzę sobie jeszcze trochę przy kominku.

– Słodkich snów, kochanie.

CMoknęłam ją w policzek, którego skóra była cieniutka jak pergamin, po czym ruszyłam po nierównych wąskich stopniach do sypialni. Kiedyś był to pokój Margaret, dopóki nie zdała sobie sprawy, że wdrapywanie się co wieczór na górę to o wiele schodów za dużo. Dlatego też znieśliśmy jej łóżko na dół, do jadalni. Na szczęście zawsze brakowało środków, by urządzić łazienkę na piętrze. Nadal mieściła się więc w przeraźliwie zimnej dobudówce zaledwie kilka metrów od pokoju, w którym teraz nocowała Margaret.

Kiedy jak zwykle ściągałam z siebie codzienne ubrania i nakładałam kolejne warstwy na noc przed położeniem się w lodowatej pościeli, pomyślałam, że decyzja, by przyjechać tu, do azylu dzikiej przyrody, była słuszna. Jak mówiłam Charliemu Kinnairdowi, po sześciu miesiącach w dziale badań w zoo w Servion pod Lozanną zdałam sobie sprawę, że chcę bezpośrednio zajmować się zwierzętami i je chronić. Dlatego też odpowiedziałam na ogłoszenie, które zobaczyłam w internecie, i przyjechałam do tego rozpadającego się domku nad jeziorem, by pomagać zreumatyzmowanej starszej pani w jej sanktuarium przyrody.

„Zaufaj swojej intuicji, Tiggy, ona nigdy cię nie zawiedzie”.

Pa Salt często mi to powtarzał.

„W życiu trzeba kierować się intuicją i zdrowym rozsądkiem. Jeśli nauczysz się korzystać z nich obu w odpowiednich proporcjach, będziesz podejmować właściwe decyzje w sposób naturalny” – dodał, kiedy staliśmy razem w jego ulubionym ogrodzie w Atlantis, patrząc na wschodzący nad Jeziorem Genewskim księżyc w pełni.

Przypomniało mi się, jak mówiłam mu, że marzę, by pewnego dnia pojechać do Afryki, pracować na rzecz niezwykle zwierząt żyjących w naturalnym środowisku, a nie za kratami.

Tej nocy, kiedy kuliłam palce stóp na skrawku prześcieradła, który rozgrzałam już kolanami, zdałam sobie sprawę, jak daleko odeszłam od tamtych marzeń. Zajmowanie się czwórką szkodkich dzikich kotów to nie była pierwsza liga.

Zgasiłam światło i leżałam, przypominając sobie, jak siostry droczyły się ze mną, nazywając mnie małą wrózką. Nie mogłam mieć do nich o to pretensji, bo w dzieciństwie nie rozumiałam, że jestem „inna”, więc mówiłam wprost, co widzę lub czuję. Raz, kiedy byłam bardzo mała, powiedziałam swojej siostrze CeCe, że nie powinna wdrapywać się na drzewo, bo widziałam, jak z niego spada. Śmiała się ze mnie. Nie chciała mnie urazić, ale twierdziła, że wchodziła na to drzewo setki razy i że wymyślam jakieś głupoty. A potem, kiedy pół godziny później spadła, unikała mojego spojrzenia, zażenowana, że moje proroctwo się sprawdziło. Od tamtej pory wiedziałam, że lepiej trzymać buzię na kłódkę, kiedy coś „wiem”. Tak samo było w przypadku mojego przekonania, że Pa Salt nie umarł...

Gdyby odszedł naprawdę, coś bym poczuła w momencie, gdy jego dusza opuszczała ziemię. A przecież nie doświadczyłam niczego takiego. Informacja przekazana telefonicznie przez moją siostrę Maję kompletnie mnie zszokowała. Nie byłam na coś takiego przygotowana. Nie dostałam żadnego „ostrzeżenia”, że stanie się coś złego. Więc albo wyczucie mnie zawiodło, albo nie byłam w stanie zaakceptować prawdy i wypierałam ją.

Wróciłam myślami do Charliego Kinnairda i tej nietypowej rozmowy kwalifikacyjnej. Coś dziwnego działo się ze mną, gdy przypominałam sobie te uderzająco błękitne oczy i wąskie dłonie o długich, wrażliwych palcach, które uratowały życie tak wielu ludzi...

– Boże, Tiggy! Weź się w garść – zamruczałam.

Może to przez życie na pustkowiu. Nie pojawiały się tu tabuny atrakcyjnych, inteligentnych mężczyzn. Pewnie stąd moja reakcja. A poza tym Charlie Kinnaird musi być przynajmniej dziesięć lat

starszy ode mnie...

Mimo wszystko, zamykając oczy, naprawdę nie mogłam się już doczekać, kiedy odwiedzę posiadłość Kinnaird.

*

Trzy dni później wysiadłam w Tain z mającego zaledwie dwa wagony pociągu i ruszyłam w kierunku sfatygowanego land rovera – jedyne go samochodu, jaki zauważyłam przed wejściem na małą stację kolejową. Mężczyzna siedzący za kierownicą opuścił szybę.

– To ty jesteś Tiggy? – spytał z mocnym szkockim akcentem.

– Tak. A ty to Cal MacKenzie?

– Jasne. Wskakuj na pokład.

Tak zrobiłam, ale nie od razu udało mi się zamknąć za sobą ciężkie drzwi od strony pasażera.

– Unieś je lekko i dopiero wtedy zatrzasknij – poradził Cal. – Ten gruchot widział lepsze czasy, jak większość rzeczy w Kinnaird.

Za moimi plecami coś nagle zaszczekało. Obejrzałam się i zobaczyłam na tylnym siedzeniu gigantycznego charta szkockiego. Pies przysunął się, by powąchać moje włosy, zanim oblizał mi twarz szorstkim językiem.

– Och, Thistle, złaż na dół! – ofuknął go Cal.

– Mnie to nie przeszkadza – powiedziałam, sięgając do tyłu, żeby podrapać charta za uszami. – Uwielbiam psy.

– Tylko go nie rozpieszczaj, to pies myśliwski, ma pracować. No dobra, jedziemy.

Po kilku nieudanych próbach Calowi udało się wreszcie uruchomić silnik i potoczyliśmy się przez Tain, miasteczko wybudowane z ponurych szarych łupków, które służyło sporej wiejskiej społeczności i gdzie znajdował się jedyny porządnym supermarket w okolicy. Miejskie uliczki szybko się skończyły i dalej jechaliśmy krętą drogą wśród łagodnych wzgórz pokrytych kępami wrzosów. Gdzieś rosnęły kaledońskie sosny. Szczyty wzgórz spowijała gęsta mgła, a za zakrętem po prawej stronie pojawiło się jezioro. W mżawce przypominało gigantyczną szarą kałużę.

Dostałam dreszczy, choć Thistle – który zdecydował się położyć swój kudłaty siwy łeb na moim ramieniu – grzał mi szyję ciepłym oddechem. Przypomni mi się pierwszy dzień, kiedy niemal rok temu wylądowałam na lotnisku Inverness. Zostawiłam za sobą pogodne błękitne niebo Szwajcarii i rozświetlone słońcem pierwsze tej zimy śniegi na szczytach gór naprzeciwko Atlantis, by znaleźć się

w scenerii przypominającej marną kopię tamtego krajobrazu. Gdy taksówka wiozła mnie do domku Margaret, zastanawiałam się głęboko, w co ja się, na Boga, wpakowałam. Teraz, kiedy przeżyłam w Szkocji wszystkie cztery pory roku, wiedziałam już, że pod koniec lata zbocza gór zabarwi łagodny fiolet wrzosów, a jezioro w łaskawych promieniach szkockiego słońca będzie błyszczeć spokojnym błękitem.

Zerknęłam ukradkiem na swojego szofera. Zwalisty, dobrze zbudowany mężczyzna z ogorzałymi policzkami i przerzedzonymi rudymi włosami. Wielkie dłonie ściskające kierownicę należały do człowieka, który ich nie oszczędzał – widziałam brud pod paznokciami, zadrapania na skórze i zaczerwienione kłykie. Biorąc pod uwagę, jak ciężko pracuje, uznałam, że musi być młodszy, niż mi się wydawało, i ma trzydzieści, może trzydzieści pięć lat.

Jak większość ludzi, których tu spotkałam, mieszkających na wsi i żyjących z ziemi daleko od reszty świata, Cal nie mówił wiele.

Ale to dobry człowiek, powiedział mi wewnętrzny głos.

– Od dawna pracujesz w Kinnaird? – przerwałam ciszę.

– Od małego. Mój ojciec, dziadek, pradziadek i prapradziadek tak samo. Towarzyszyłem tacie, odkąd umiałem chodzić. Od tamtej pory czasy się zmieniły, nie ma co. A te nowe przyniosły nowe problemy. Beryl nie jest zachwycona najazdem Angoli.

– Beryl? – spytałam.

– Gospodyni w rezydencji Kinnairdów. Pracuje tu od ponad czterdziestu lat.

– Angoli?

– Anglików. Na sylwestra ściągnie tu banda bogatych gogusiów. Beryl nie jest szczęśliwa. Ty jesteś pierwszym gościem od renowacji. Kierowała nią żona dziedzica i nie poskąpiła na nic. Same zasłony musiały kosztować tysiące.

– No, mam nadzieję, że nie zadawała sobie trudu ze względu na mnie. Nawykłam obywać się bez wygód – wtrąciłam, żeby nie pomyślał przypadkiem, że jestem rozpaskudzoną księżniczką. – Szkoda, że nie widziałeś domku Margaret.

– E tam, widziałem wiele razy. To krewna mojego kuzyna, jesteśmy więc daleką rodziną. W tych stronach większość ludzi jest ze sobą w ten czy inny sposób spokrewniona.

Znów zapadło pomiędzy nami milczenie. Cal skręcił ostro w lewo przy małej zrujnowanej kapliczce, na której wisiła wyblakła już, krzywo przybita tabliczka z napisem *Na sprzedaż*. Droga zro-

biła się tu węższa. Jechaliśmy przez otwartą przestrzeń, pomiędzy ułożonymi z kamieni murkami, które miały chronić pasące się na łąkach owce i bydło.

W oddali widziałam ciemne chmury wiszące nad górami. Tu i ówdzie po obu stronach pojawiały się jakieś zabudowania. Z kominów unosiły się smużki dymu. Szybko zapadał zmierzch, a my posuwaliśmy się naprzód coraz bardziej wyboistym i pełnym dziur traktem. Amortyzatory land rovera najwyraźniej dawno wysiadły, co czuło się, gdy Cal pokonywał kolejne wąskie mostki wznoszące się nad bystrzymi strumieniami. Pod nami woda pieniała się przy głazach, pędząc w dół, co oznaczało, że pniemy się coraz wyżej.

– Daleko jeszcze? – spytałam, popatrując na zegarek i zdając sobie sprawę, że minęła godzina, odkąd wyjechaliśmy z Tain.

– Nie, całkiem blisko – mruknął Cal, skręcając ostro w prawo. Znaleźliśmy się na drodze, która przypominała bardziej zwirową ścieżkę. Zdradliwe dziury były tak głębokie, że błoto spod kół przyskało aż na szyby auta. – Widać wjazd do posiadłości.

Kiedy w świetle reflektorów mignęły kamienne kolumny, żałowałam, że nie dotarłam tu wcześniej, by lepiej się rozejrzeć.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – zapewnił mnie Cal.

Skręcaliśmy to w lewo, to w prawo wijącym się wyboistym szlakiem. Opony land rovera buksowały na podmokłym stromym podjeździe wysypanym żwirem. Wreszcie Cal się zatrzymał; samochód zadygotał raz jeszcze i w końcu silnik z ulgą przestał pracować.

– Witaj w Kinnaird – rzucił Cal, popchnął drzwi i wysiadł.

Zauważyłam, że jak na swoje gabaryty chodzi bardzo lekko. Obszedł wóz i otworzył drzwi od mojej strony, po czym wyciągnął rękę, żeby mi pomóc.

– Dam sobie radę – stwierdziłam. Wyskoczyłam z samochodu i od razu wylądowałam w głębokiej kałuży.

Thistle łącił się do mnie i znów serdecznie mnie polizał, zanim pobiegł i zaczął węszyć po podjeździe, rad z powrotu na znane sobie terytorium.

Uniosłam wzrok. W świetle księżyca wyraźnie odznaczały się ostre zarysy rezydencji Kinnaird. Strome dachy i wyniosłe kominy rzucały cienie wśród nocy. Za wysokimi kratkowanymi oknami osadzonymi w surowych kamiennych murach migotały ciepłe światła.

Cal sięgnął po moją torbę leżącą na tylnym siedzeniu land rovera i poprowadził mnie naokoło budynku do drzwi na tyłach.

– Wejście dla służby – mruknął, wycierając buty o wycieraczkę

wyłożoną przed drzwiami. – Jedynie dziedzic, jego rodzina i zaproszeni goście korzystają z tego od frontu.

– Jasne – powiedziałam.

Kiedy wchodziliśmy, ze środka buchnęło rozkoszne ciepło.

– Gorąco jak w piecu – gderał Cal, kiedy szliśmy korytarzem mocno pachnącym świeżą farbą. – Żona dziedzica kazała zamontować jakiś wspaniały system ogrzewania i Beryl nie nauczyła się jeszcze nim sterować. Beryl! – zawołał, prowadząc mnie do wielkiej ultranowoczesnej kuchni, oświetlonej mnóstwem lamp reflektorowych.

Aż musiałam zmrużyć oczy, żeby wzrok przyzwyczaił się do tej jasności. Na środku stała błyszcząca wyspa, a po bokach gładkie szafki i coś, co wyglądało na szalenie eleganckie piecyki.

– Bardzo stylowo – pochwaliłam.

– Tak, rzeczywiście. Szkoda, że nie widziałś tego miejsca, zanim umarł stary dziedzic. Ale podobno za szafkami były zbierający się od ponad stu lat brud i spory klan myszy. Tylko że wszystkie te zmiany na nic, jeśli Beryl nie zdoła nauczyć się korzystać z tych nowomodnych pieców. Gotowała na starej kuchence, odkąd tu pracuje, a żeby używać tych dwóch fikuśnych urządzeń, trzeba mieć dyplom z informatyki.

Kiedy mówił, weszła elegancka szczupła kobieta o ostrych rysach i białych jak śnieg włosach upiętych w kok nad karkiem. Czulałam, że niebieskie oczy osadzone po bokach orlego nosa oceniają mnie surowo.

– Panna D’Aplièse, jak sądzę? – spytała. Jej melodyjny głos tylko leciutko zdradzał szkocki akcent.

– Tak, ale proszę mówić po prostu Tiggy.

– A do mnie Beryl. Jak wszyscy.

Przemknęło mi przez myśl, że to imię do niej nie pasuje. Koją rzyło mi się z typem matczynym o wielkich piersiach, rumianych policzkach i dłoniach tak spracowanych i dużych jak patelnie, którymi codziennie ktoś taki żongluje. Tymczasem stała przede mną przystojna, poważna kobieta w nienagannie skrojonej czarnej sukience gospodyni.

– Dziękuję za dzisiejszy nocleg. Mam nadzieję, że nie robię zbyt wielkiego kłopotu. Na pewno ma pani dość zajęć – wybąkałam skrzępowana jak dziecko zwracające się do dyrektorki szkoły. Beryl miała w sobie coś, co nakazywało traktować ją z najwyższym szacunkiem.

– Jesteś głodna? Ugotowałam zupę. To właściwie jedyne, co jestem w stanie przygotować, zanim rozpracuję programy tych nowych kuchenek. – Uśmiechnęła się kwaśno do Cala. – Dziedzic mówił, że jesteś weganą. Czy marchewka z kolendrą będą w porządku?

– Jak najbardziej, dziękuję.

– To ja już was zostawię – wtrącił Cal. – Z wczorajszego polowania mam w szopie kilka jelenich łbów do obrobienia. Dobranoc, Tiggy, śpij dobrze.

– Dziękuję, Cal, ty też – odparłam, tłumiąc odruch wymiotny po tym, co przed chwilą powiedział.

– Zaprowadzę cię na górę do twojej sypialni – powiedziała szorstko Beryl, dając gestem znać, że mam iść za nią.

W końcu korytarza skręciliśmy do wspianego holu z kamienną posadzką. Był tam imponujący kamienny kominek, nad którym wisiała głowa jelenia z ogromnymi rogami. Beryl poprowadziła mnie na górę schodami świeżo pokrytymi wykładziną. Ściany były ozdobione portretami przodków rodziny Kinnairdów. Potem szliśmy szerokim korytarzem na górę. Wreszcie Beryl otworzyła drzwi dużego pokoju utrzymanego w łagodnej beżowej tonacji. Na honorowym miejscu stało ogromne łóż z baldachimem, z zasłoną udrapowaną z materiału w czerwoną szkocką kratę. Przy kominku stały skórzane fotele z miękkimi poduszkami, a dwie stare mosiężne lampy na stolikach nocnych z politurowanego na błysk mahoniu dawały miękkie światło.

– Jak tu pięknie – szepnęłam. – Czuję się jak w pięciogwiazdkowym hotelu.

– Starszy dziedzic sypiał tu aż do dnia śmierci, ale teraz pewnie nie poznałby tego pokoju, a zwłaszcza łazienki. – Beryl wskazała na drzwi po lewej stronie. – Używał tego pomieszczenia jako przebieralni. Pod koniec wstawiłam tam toaletę. Wiesz, łazienka była na drugim końcu korytarza.

Gospodyni westchnęła ciężko. Widząc wyraz jej twarzy, domyśliłam się, że jest myślami w przeszłości – za którą najwyraźniej tęskniła.

– Pomyślałam, że mogłabym posłużyć się tobą jako królikiem doświadczalnym. Jeśli nie masz nic przeciw temu, wypróbuj ten apartament, sprawdź, czy coś jest jeszcze nie tak – kontynuowała. – Będę wdzięczna, jeśli weźmiesz prysznic i powiesz mi, jak długo trzeba czekać, aż zacznie płynąć ciepła woda.

– Z przyjemnością. Tam gdzie teraz mieszkam, ciepła woda to rzadkość.

– No dobrze, nadal czekamy na stół do jadalni, który jest w renowacji, dlatego najlepiej będzie, jeśli przyniosę ci tacę z jedzeniem tutaj.

– Zrób tak, jak ci najwygodniej.

Skinęła głowę i wyszła z pokoju. Usiadłam na brzegu materaca, który wydawał się bardzo wygodny, i zamyśliłam się nad tym, że nie jestem w stanie rozszyfrować Beryl. I ten dom... tak luksusowe warunki to ostatnie, czego mogłam się tu spodziewać. W końcu wstałam z łóżka i zajrzałam do łazienki. Zobaczyłam podwójną umywalkę z marmurowym blatem, wolno stojącą wannę i kabinę z wielkim okrągłym prysznicem w górze. Po miesiącach kąpieli w poobijanej emaliowanej wannie u Margaret wprost nie mogłam doczekać się, kiedy pod niego wskoczę.

– To raj – szepnęłam.

Zrzuciłam ubranie, puściłam wodę i nieprzyzwyczajenie długo stałam w jej ciepłym strumieniu. Potem wyszłam, wytarłam się i włożyłam cudownie pachaty szlafrok, który wisiał na drzwiach. Wycierając ręcznikiem swoje niesforne loki, wróciłam do sypialni, gdzie zastałam Beryl, która właśnie stawiała tacę na stoliku obok jednego ze skórzanych foteli.

– Przyniosłam ci trochę domowego syropu z kwiatów czarnego bzu do zupy.

– Dziękuję. A właśnie! Woda od razu była gorąca.

– To dobrze. No to zostawię cię, żebyś spokojnie zjadła. Śpij dobrze, Tiggy – powiedziała i wyszła z pokoju.

2

Zza grubych kotar nie docierał do środka nawet promień światła, kiedy po omacku szukałam przycisku, by włączyć lampę i zobaczyć, która godzina. O dziwo, była już prawie ósma. Co za leniuchowanie jak na kogoś, kto wstaje zwykle o szóstej, by nakarmić zwierzęta! Wygramoliłam się z ogromnego łóża i poszłam odsłonić okno, za którym ukazał się niesamowicie piękny widok.

Dom leżał na wzgórzu opadającym łagodnie do wijącej się w dolinie wąskiej rzeki. Dalej teren zaczynał się wznosić znowu aż do pasma gór, których szczyty pokrywał błyszczący niczym lukier śnieg. W porannym słońcu cały krajobraz mienił się od szronu. Otworzyłam niedawno pomalowane okno, by odetchnąć pełną piersią górskim powietrzem. Pachniało świeżością, z małą nutką wilgoci jesiennych traw i liści, które rozkładały się, by użyźnić ziemię przed kolejną wiosną.

Chciałam pobiec i zanurzyć się w tym cudownym świetle natury w najlepszym wydaniu. Włożyłam szybko džinsy, sweter i kurtkę narciarską, czapkę, a na nogi solidne botki i ruszyłam na dół do drzwi frontowych. Nie były zamknięte, a kiedy znalazłam się na zewnątrz, aż dech mi zapało z zachwytu. Przede mną roztaczał się rajski krajobraz, nieskażony ręką człowieka.

– To wszystko moje – szepnęłam, idąc po szorstkiej zmarzniętej trawie przed domem.

Z lewej strony wśród drzew coś zaszeleściło. Dostrzegłam młodą sarnę kasztanowej cętkowanej maści; miała sterczące uszy i długie rzęsy. Zwierzę natychmiast czmychnęło w lekkich podskokach. Choć teren wydzielony dla jeleni, którymi opiekowała się Margaret, był duży i starała się zapewnić im warunki jak najbardziej zbliżone do naturalnych, to jednak zwierzęta żyły tam za ogrodzeniem. Tu,

w Kinnaird, miały tysiące hektarów, po których mogły swobodnie wędrować. Oczywiście nie były całkiem bezpieczne. Nawet jeśli nie grozili im już dawni naturalni wrogowie, to teraz największe niebezpieczeństwo stwarzali dla nich ludzie, myśliwi.

Pomyślałam, że w przyrodzie zawsze jest ryzyko. Dotyczy to również ludzi, mieniących się panami życia na Ziemi. Z całą naszą arogancją uważamy się za niezwyciężonych. A przecież tyle razy widzieliśmy, jak podczas tornada czy huraganu bogowie jednym podmuchem wiatru potrafią zmieść z powierzchni naszej planety tysiące ludzkich istot.

W połowie zbocza zatrzymałam się przy płynącym wartko strumieniu, który wezbrał po nocnym deszczu. Oddychając głęboko, rozejrzałam się.

Czy chciałabym tu przez jakiś czas pomieszkać?

Tak, tak, tak! – zabrzmiała wewnętrzna odpowiedź.

Jednak nawet mnie to miejsce wydawało się całkowicie odcięte od cywilizacji. To był naprawdę inny świat. Wiedziałam, co powiedzą moje siostry – że chyba zwariowałam, by zakopać się na takim pustkowiu, podczas gdy powinnam spędzać więcej czasu między ludźmi, a najlepiej w towarzystwie odpowiednich kawalerów – tylko że mnie się to wcale nie uśmiechało. Wśród dzikiej przyrody czułam, że żyję, moje zmysły się wyostrzały, doświadczałam euforii, jakbym unosiła się ponad ziemią i stawiała się częścią wszechświata. Wiedziałam, że tu, w Kinnaird, moje wewnętrzne ja, które tak skrętnie ukrywałam, może rozkwitnąć i umacniać się, gdy będę budzić się co rano blisko tego magicznego wąwozu.

– Co byś powiedział na to, gdybym na jakiś czas została w Kinnaird, Pa? – rzuciłam w niebo, rozpaczliwie pragnąc kontaktu z tym, którego kochałam najbardziej w świecie.

Lecz i tym razem odpowiedziała mi głucha cisza. Nie poczułam nic, ani fizycznie, ani duchowo. To było bardzo smutne.

Kilkaset metrów od domu zobaczyłam ze skalnego urwiska gęsty las w dole. Wydawał się niedostępny, ale kiedy spróbowałam, okazało się, że zejście nie jest takie trudne. Idealne warunki dla Molly, Igora, Posy i Polsona – naszych czterech dzikich kotów.

Pospacerowałam tam trochę. Wiedziałam, że zalesione zbocze z tyłu da kotom poczucie bezpieczeństwa, potrzebne, by odważyły się na wędrowki, a z czasem może i na założenie rodzin. Z domu i zabudowań można było tu dotrzeć w dziesięć minut – więc było dość blisko, bym mogła codziennie dokarmiać naszych podopiecz-

nych, nawet w środku zimy. Zadowolona ze swojego wyboru, wspierałam się na wąską wyboistą ścieżkę, która najwyraźniej była drogą dojazdową do wąwozu.

Nagle usłyszałam zbliżający się warkot silnika, obejrzałam się więc i zobaczyłam, jak z okna land rovera wychyla się Cal.

– Tu jesteś! – Popatrzył na mnie z wyraźną ulgą. – Gdzieś ty się nam zapodziała? Beryl dawno przygotowała śniadanie, ale kiedy poszła cię zawołać, nie zastała cię w pokoju. Była przekonana, że nocą porwał cię MacTavish Zuchwały, nasz duch rezydent.

– O rany, naprawdę przepraszam, Cal. To taki piękny ranek. Poszłam pozwiedzać trochę okolicę. Znalazłam też idealne miejsce na zbudowanie zagrody dla kotów. Tam. – Wskazałam na zbocze.

– W takim razie może opłaciło się to całe zamieszanie z Beryl i śniadaniem. Poza tym pewnie nie zaszkodzi jej trochę emocji, żeby się nie nudziła. – Cal mrugnął do mnie. – Oczywiście, problem w tym, że ona uważa się tu za prawdziwą panią domu. Zresztą nie mogę zaprzeczyć, pod wieloma względami nią jest. Wskakuj. Podwiozę cię.

Wsiadłam do samochodu i ruszyliśmy.

– Te drogi robią się bardzo zdradliwe, kiedy pada śnieg – ostrzegł mnie Cal.

– Całe życie mieszkałam w Genewie, jestem przyzwyczajona do jazdy po śniegu.

– To dobrze, bo będziesz go tu widziała sporo przez wiele miesięcy. Popatrz, za tą polanką chowają się między brzoźami na noc byki.

– Wygląda to na dość marną kryjówkę – powiedziałam, patrząc na wątłe drzewka.

– Tak, i w tym problem. Większość lasów w wąwozie została wycięta. Staramy się je odbudować, ale trzeba grodzić szkółki, bo inaczej jelenie wyjadają sadzonki. To wielkie wyzwanie dla nowego dziedzica. Och, nie, Beryl...

Coś straszliwie zazgrzytało, kiedy przerzucał bieg. Land rover zatrząsł się, ale po chwili znów pojechał gładko.

– Beryl? – powtórzyłam zdziwiona.

– A jak? – Zaśmiał się. – Nadałem tej maszynie imię od naszej gospodyni. Ten wóz jest tak twardy jak stare buciory i zwykle niezawodny, mimo tej czkawki.

Kiedy wróciliśmy do domu, przeprosiłam bardzo Beryl za to, że znikłam przed śniadaniem. Po czym uznałam, że wypada zjeść

przygotowane mi przez nią kanapki z pastą marmite – „zamiast śniadania”, które mnie ominęło. A naprawdę nie jestem entuzjastką marmite.

– Chyba mnie nie lubi – mruknęłam do Cala, kiedy poszła do kuchni, a on pomagał mi w opróżnianiu talerza.

– Nie, Tig, ta biedna kobieta jest po prostu zestresowana – zauważył słusznie, miażdżąc potężnymi szczękami kolejne porcje pociętych na trójkąty kanapek. – Powiedz, o której chcesz wracać? Najbliższy odjazd masz o trzeciej dwadzieścia dziewięć, ale sama decyduj.

Nagle odezwał się dzwonek telefonu, ale zaraz ucichł. Zanim zdołałam odpowiedzieć Calowi, z kuchni wróciła Beryl.

– Dziedzic chce z tobą mówić, Tiggy. Możesz teraz podejść do telefonu? – spytała.

– Oczywiście.

Popatrzyłam na Cala i wzruszyłam ramionami, po czym poszłam za gospodynią tylnym korytarzem do małego pokoju, który najwyraźniej służył za biuro.

– Zostawię cię samą – rzuciła, wskazując słuchawkę leżącą na biurku.

– Halo? – powiedziałam do telefonu, gdy za Beryl zamknęły się drzwi.

– Cześć, Tiggy. Przepraszam, że nie mogłem dołączyć do ciebie w Kinnaird. Miałem w szpitalu kilka nagłych przypadków, którymi trzeba się było zająć.

– Nie ma sprawy, Charlie – skłamałam, bo byłam rozczarowana.

– No i co myślisz o Kinnaird?

– Sądzę... że to jedno z najbardziej niesamowitych miejsc, jakie widziałam. Oszałamiające, naprawdę, Charlie. A przy okazji, myślę, że znalazłam idealne siedlisko dla kotów.

– Naprawdę?

– Tak.

Opowiedziałam mu, o który fragment posiadłości mi chodzi i dlaczego mój wybór byłby taki, a nie inny.

– Jeśli tak uważasz, to na pewno masz rację. A co z tobą? Masz ochotę z nimi przyjechać?

– No... bardzo mi się tu podoba – przyznałam, uśmiechając się do słuchawki. – Zresztą to mało powiedziane. Po prostu zakochałam się w tym miejscu.